

Płatne studia grożą demokracji

30 października 2011

Wywiad z Christopherem Newfieldem – profesorem filologii angielskiej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara w Stanach Zjednoczonych.

EDU-FACTORY: Przez ostatnie dwa dziesięciolecia w USA politycy i akademicy szeroko debatowali nad kryzysem uniwersytetu. Jako autor licznych artykułów i dwóch książek miałeś swój wkład w tę debatę; czy mógłbyś przybliżyć nam jej rezultaty?

CHRISTOPHER NEWFIELD: Kryzys uniwersytetu zapoczątkowały konserwatywne ataki na procesy demokratyzacji społeczeństwa, które na gruncie amerykańskim wspierane były przez powojenne uniwersytety, szczególnie zaś uczelnie publiczne. Ataki te obrały sobie uniwersytet za cel, nie tylko dlatego, że był schronieniem dla centrowych i lewicowych idei, ale również dlatego, że był miejscem wytwarzania naukowych i technologicznych innowacji, na których opierał się system biznesowy, szkolił również kadry, które zarządzają tym systemem – tzw. „siłę roboczą przyszłości”, bez której żadna firma internetowa czy bank inwestycyjny nie mógłby działać choćby przez dzień. Prawica w latach 1960. rozpoznała, że uniwersytet wytwarza masową klasę średnią, która otwarcie kwestionowała światopogląd elit gospodarczych i militarnych okresu zimnej wojny, trzymających w twardym uścisku politykę USA w latach 50. Uniwersytet wydawał się więc wylęgarnią tych wszystkich problematycznych ludzi, którzy sprzeciwiali się segregacji rasowej, sympatyzowali z ofiarami kolonializmu oraz demonstrowali przeciwko rozwijaniu arsenałów atomowych, czy wojnie w Wietnamie. Inaczej niż duże korporacje, polityka narodowa, firmy prawnicze, kościoły białych, czy inne podpory establishmentu, uniwersytet przekazywał wiedzę techniczną, polityczne przekonania, oraz dawał szanse materialnego awansu

nie tylko kontrolowalnej elicie, ale również 50-60% populacji, która w połowie lat 1970. choćby tylko otarła się o studia.

Pierwszą flanką prawicowego uderzenia były „wojny kulturowe” – niezliczone i w dużej mierze udane wysiłki zdyskredytowania praw obywatelskich czy usług publicznych (których symptomem mogą być takie popularne kategorie jak „kultura zależności” czy „królewny dobrobytu”), oraz podważenia nowej wiedzy społecznej wyłaniającej się na uniwersytetach (poprzez kategorie „poprawności politycznej”, „multikulturalizmu”). Brano na cel każdą formę wiedzy akademickiej, która wzbogacała się przez kontakt z ruchami społecznymi. Drugą flankę prawicowego natarcia stanowiły wojny budżetowe, na gruncie których szkolnictwo wyższe przedstawiane było jako klucz do sprawnej „gospodarki opartej na wiedzy”, przy jednoczesnym ograniczaniu mu publicznego wsparcia. Sektorem, który został dotknięty w szczególnie sposób tymi atakami były publiczne uniwersytety, kształcące do 1995 r. 80% studentów amerykańskich uczelni. Liczby są zatrważające: badanie wykonane przez Urban Institute pokazuje, że w ostatnich 25 latach XX w. udział wydatków na edukację wyższą w stanowych budżetach w całym kraju spadł z 6,7% do 4,5%. Raport Uniwersytetu Kalifornijskiego głosi, że wsparcie stanowe w przeliczeniu na każdego studenta spadło o blisko 40% w dolarach realnych.

Środki, które ucięto przeznaczone były wcześniej na szeroko rozumianą publiczną wyższą edukację – na działania związane z kształceniem, podnoszące niezależność, osobisty rozwój, zdolności przywódcze zwykłych studentów. Cięcia w państwowych subsydiach nie dotknęły szkół prywatnych oraz badań ufundowanych ze środków federalnych: szkoły, których absolwenci rządzą Wall Street i Waszyngtonem były bogatsze niż kiedykolwiek wcześniej. Bogactwo to pochodziło w dużej mierze z inwestycji w fundusze hedgingowe i inne strukturyzowane instrumenty inwestycyjne, które niedawno wywołały gigantyczny kryzys, a jednak przez szereg lat z rzędu pozwalały na wzrost

przychodów uczelni takich jak Harvard, Stanford i Princeton na poziomie 15-30% rocznie. Również federalne instytucje rozdające granty ukierunkowały swoje programy na uzyskiwanie komercyjnych wyników i w latach 1990-2005 podwoiły swoje budżety w dolarach realnych: 70% tych pieniędzy przeszło bezpośrednio w ręce biznesu, zaś większa część pozostałych do uniwersytetów.

– Zatem finansjeryzacja uniwersytetu była możliwa dzięki wojnom budżetowym. Była procesem, który dotknął zarówno prywatny, jak i publiczny uniwersytet, mimo że w różny sposób. Współczesny kapitalizm w rzeczywistości nie oszczędza uniwersytetowi procesu finansjeryzacji, który był jedną z jego cech jeszcze przed obecnym kryzysem. W związku z tym, chcieliśmy zapytać, jaką rolę odegra uniwersytet w politycznym i kulturowym rozwoju współczesnego społeczeństwa?

– Cięcia oszczędziły korporacyjne cele szkolnictwa wyższego, jednocześnie zgniatając jego masową podstawę. Głównym tego efektem jest fakt, że wielość nowo wypuszczonych absolwentów, posiadająca słabe umiejętności, większe zadłużenie i cechująca się mniejszym zaangażowaniem na polach aktywności obywatelskiej (których reputacja została dotkliwie nadszarpnięta), nie może oczekiwać, że obejmą demokratyczną kontrolę nad własnym społeczeństwem, muszą więc dążyć do wciśnięcia się w miejsca, które będą rozdzielane w oparciu o interpretację warunków ekonomicznych dyktowanych przez politycznych i ekonomicznych przywódców.

To prowadzi nas do kwestii dzisiejszego kryzysu. Jego najbardziej bezpośrednim efektem będą dalsze cięcia w usługach publicznych, włączając w to uniwersytety. Tym razem ucierpią na tym również szkoły bogatych elit: Cornell University, kiedy tylko przekalkulował, że jego przychody spadły, ogłosił zamrożenie zatrudniania; inni będą podążać tą drogą. Badania prowadzone ze środków federalnych zostaną zredukowane, oddziałując tym samym na budżety dużych jednostek badawczych w sektorze akademickim. USA, chcąc rozpocząć wojnę w Iraku i

obniżać podatki od zysków kapitałowych, wpadły w bardzo duży deficyt federalny w trakcie gospodarczego boomu. Rządy będą znajdować się pod ogromną presją, na obniżenie kosztów działania sektora usług publicznych i dlatego szkolnictwo wyższe będzie w ciągłym regresie.

W tym sensie kryzys finansowy jest ostatecznym tryumfem prawicowej „doktryny zaciskania pasa”. Została ona rozwinięta w trakcie rządów administracji Reagana: użycie deregulacji rynku oraz obniżki podatków dla bogatych w celu zdegradowania usług publicznych, podkopania powszechnego poparcia dla nich oraz stworzenie tak dużego deficytu budżetowego, by rząd był zmuszony do dalszych cięć. W przypadku uniwersytetu wynik można porównać do działania finansowej bomby neutronowej. Pozwoliło to na przeżycie technologicznym wydziałom uniwersytetu, lecz jednocześnie obezwładniło wszystkie inicjatywy powiązane z niezależną myślą polityczną i kulturową oraz z rozwojem społecznym.

– Kolejnym punktem styczonym kryzysu finansowego z kryzysem uniwersytetu wydaje się nam system kredytów studenckich. Funkcjonuje on jako postać uspołecznienia ryzyka w obrębie korporacyjnego uniwersytetu. Poprzez system kredytów, studenci biorą na siebie ryzyko, płacąc z góry część swoich przyszłych zarobków (jak to ma miejsce w przypadku opcji na giełdzie). Będą musieli spłacać swoje kredyty przez kilka lat po studiach. W tym kontekście moglibyśmy pomyśleć o systemie kredytów studenckich jako rodzaju finansjeryzacji dobrobytu. Jest to wieloznaczny proces: z jednej strony studenci zaciągają kredyty, by zabezpieczyć swój dostęp do edukacji, z drugiej rynki finansowe tworzą perwersyjną odpowiedź na ludzką potrzebę dostępu do edukacji. Perwersyjnym działaniem rynków finansowych jest obniżanie przyszłych zarobków studentów przez długi zaciągnięte w celu zdobycia wykształcenia.

– Dwie rzeczy dzieją się w tym samym czasie. Pierwszą jest ogólny wzrost poziomu długu absolwentów. Nellie Mae, firma zajmująca się kredytami studenckimi „zauważyła, że średni dług

studencki co najmniej się podwoił” pomiędzy 1991 a 1997 rokiem; dodatkowo „średni dług na kartach kredytowych, według stanu z 2002 r. wynosił ponad 3 tys. dol.” W tym samym roku „39% studentów kończyło studia, osiągając poziom długu niemożliwy do spłaty.” Odsetek ten wynosiłby odpowiednio 55 i 58%, jeśli przyjrzelibyśmy się studentom afroamerykańskim i latynoskim. Kilka lat później, rzeczywisty poziom zadłużenia studenckiego wynikającego z kredytów na studia, zgodnie ze stanem z 2007 r., wynosił blisko 21,9 tys. dol.: 19,4 tys. dla kredytobiorców z publicznych uniwersytetów i blisko 25,7 tys. dla tych z uczelni prywatnych. By utrzymać poziom długu na tym i tak słabo kontrolowalnym poziomie, 4/5 wszystkich studentów pracuje w trakcie studiów, 1/3 w pełnym wymiarze godzinowym, 2/3 średnio 25 godzin w tygodniu. Studenci tracą przyszłe zarobki, stając się coraz bardziej zmuszeni do przyjmowania jakiejkolwiek pracy dostępnej na rynku, oraz bardziej uступliwi w konfrontacji z pracodawcą. Kredyt studencki nie stworzył jeszcze systemu poddaństwa za długi, jednak podniósł poziom finansowej niepewności, a co najważniejsze – politycznej potulności. Po drugie, kredyt studencki pogłębił zarówno klasowe, jak i rasowe nierówności w USA. Latynosc i afro-amerykańscy studenci są bardziej skłonni do przyjmowania niedopuszczalnie wysokich kredytów studenckich oraz niedotrzymywania warunków umów kredytowych, co sieje spustoszenie w ich życiu prywatnym. Trzecim skutkiem jest to, że kolorowi studenci trafiają na 2-letnie lub prowadzone przez lokalne uczelnie 4-letnie studia, a nie na największe publiczne uniwersytety badawcze czy elitarne prywatne uczelnie, gdzie mogliby wejść na ścieżki kariery w stylu Obamy, wiodące na pozycje przywódcze. Dodatkowo na uczenie się w ramach 4-letnich kursów na uniwersytetach w coraz większym stopniu stać jedynie bardziej zamożnych studentów. W rezultacie niemal całkowity wzrost, jaki nastąpił w dostępie do szkolnictwa wyższego przez ostatnie 30 lat zanotowany został wśród studentów z rodzin lokujących się w górnych 25% rozkładu dochodów. W końcu należy zaznaczyć, że kredyt studencki zniechęca do pracy w sektorze publicznym i pracach

zorientowanych na ten sektor. Jeśli ktoś opuszcza uczelnię prawniczą, posiadając 125 tys. dol. długu, jest zdecydowanie mało skłonny pracować dla organizacji pozarządowych w dziedzinie prawa antydyskryminacyjnego i ubóstwa, które płacą 55 tys. rocznie, skoro może dołączyć do korporacji i dostać 150 tys. na start, mając możliwość bezpośredniej spłaty długów.

– Czy wydaje ci się, że możliwe jest przekroczenie politycznej potulności związanej z systemem kredytowym i znalezienie nowego pola walki przeciwko zarówno kryzysowi uniwersytetu, jak i kryzysowi finansowemu? W trakcie ostatnich walk studenckich we Włoszech funkcjonowało hasło: „Nie będziemy płacić za wasz kryzys!”. Czy uważasz, że możliwe jest rozwinięcie podobnego procesu w kontekście Stanów Zjednoczonych?

– To świetne hasło! Musimy je zastosować również w USA! Większość studentów i pracowników naukowych działa tak, jakby kryzys pojawił się niczym trzęsienie ziemi lub huragan, który stał się nową rzeczywistością, zmuszającą nas do obniżenia oczekiwań. To błędna postawa, jednak, jak do tej pory, tylko nieliczni studenci i pracownicy naukowcy stawiają opór. Amerykanie mogą mieć obsesję na punkcie pieniędzy, ale w gruncie rzeczy nie wiedzą wiele o tym, w jaki sposób one funkcjonują.

Potrzebujemy nowego ruchu na rzecz demokratyzacji, który widziałaby w publicznym systemie szkolnictwa wyższego swoją podstawę. Jak do tej pory pracownicy uczelni są zagubieni. Pozostają podzieleni na pełnoetatowych i tymczasowych (ci ostatni, adiunkci, uczą w ramach 40% kursów na uniwersytetach w USA, nie posiadając zabezpieczonego zatrudnienia, z dużo niższymi płacami, większymi obciążeniami dydaktycznymi i mniejszymi osłonami socjalnymi). Podzieleni są również na „gwiazdy”, które mają międzynarodową reputację i oferty pracy spoza własnych uczelni, dzięki którym mają szansę podnieść swoje zarobki i budżety badawcze, oraz „siłaczy”, którzy

poświęcają większość swego czasu na nauczanie oraz świadczenia na rzecz uniwersytetu i nie mają żadnych możliwości zwiększenia swoich zarobków w inny sposób. Ta przemieszana i podzielona grupa nie sprzymierza się ze studentami w żądaniu odpowiednich zasobów pozwalających na łączenie masowego dostępu z wysoką jakością edukacji. Wielu z nas nieustannie stara się tę kwestię przepracować. Niemniej jednak, aby zrównoważyć ogromną presję wywieraną na uniwersytet przez polityków zaciskających pasa tylko po to, by później przekazywać pieniądze bankom, potrzebne jest jednocześnie przerwanie pracy lub stanowczy pracowniczy nacisk na uczelnie (np. wszyscy pracownicy danej jednostki naraz aplikujący do pracy na innych uczelniach itd.).

Każdy wie, że nie ma żadnej demokracji bez wolnej prasy, która jest finansowo i intelektualnie niezależna. Nie można mieć też demokracji bez wolnego uniwersytetu. Przegrupowany ruch na rzecz demokracji powinien opierać się po części na żądaniu powszechnej wyższej edukacji – egalitarnego dostępu do najlepszej jakości kształcenia, z jego misją i zadaniami określanymi przez jego beneficjentów.

Tłumaczenie: Krystian Szadkowski

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)